

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 27.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, ¹⁹/₃₁ marca 1860.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Babunia, peczya (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kronika sztuk pięknych. — Grobowce Opatńskich w Rytwianach (z drzeworytem). — Książdz Jakub Falkowski i instytut głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie (z dwoma drzeworytami). — Ambicya, humoreska Wł. Maleszewskiego (dokonczenie). — Korrespondencya od redakcyi. — Kościół franciszkański w Nowym mieście Korczynie (z drzeworytem) — Szachy i rebus.

BABUNIA.

ZE SZWEDZKIEGO POETY ANDERSONA.

(Urywek.)

Nasza babunia stara, pomarszczona, siwa,
Ale oczy jęj blaskiem migocę się jeszcze,
I piękne historyjki z pamięci dobywa;
Jęj suknia w duże kwiaty jak nowa szeleszcze,
Babunia wiele umie i wiele pamięta,
Bo gdzie starsza od ojca i od naszęj matki!
U babuni jest książka do modlitwy święta,
A w tęj książce dębowe z klamrami okładki.
Międy kartami książki, zerwana za młodu,
Spłaszczona, zeschnęła róża troskliwie się chowa,
Nie tak piękna, nie świeża jak różę z ogrodu,
Lecz widząc ją, babunia zapłakać gotowa.
Pocóż nasza babunia tak starannie strzeże
W książce do nabożeństwa kwiat zżółkły nieładnie?
Czemu, gdy na tęj książce odmawia pacierze,
A na zawiędły kwiatek jęj łęzka upadnie,
Kwiat odzyskuje barwę, nabiera swęj woni,
Twarz babuni młodnieje, rumieni się, bieli,
Słonce ją opromienia, uśmiecha się do nięj,
W domku poweselało i w sercu weselęj?
Ot... młodnieje, młodnieje, rzekłbyś dziewczę hoże,
Ze światłemi włoskami, krasnemi jagody,
I kwiatek z sianozęci być świeższym nie może.
Mniema że przy nięj siedzi narzeczony młody,
On jęj darował różę, ona się uśmiecha,
Z tym niewinnym uśmiechem jak dziecku jęj ładnie.
Odjechał, — tysięc dumań przedumała z cicha,
W książkę do nabożeństwa znów swę różę kładnie,
Zasiada w staroswieckie krzesło na ostatek,
Twarz się jęj znów pomarszcza, oko już nie pała,
Jeszcze raz popatrzyła na zawiędły kwiatek,
Książka jęj z ręk wypadła, babunia skonała.

Wł. Syrokomla.

o dyamentowych (!!!) oczach i anielskim uśmiechu, kiedy post, czas umartwień i pokuty, więcj przysparza pieniędzy dobrym i pożytecznym uczynom, aniżeli ich przez cały może karnawał na przyjęcia i zabawy rozmaite wyszło.

Bo słuchajcie. Dwa widowiska na Dobroczytność pełne całkowicie, chociaż już z samęj próby niemało wpłynęło pieniędzy. Na dochód Felicyanek również teatr Rozmaitości napełniony, a i próba płatna także spory grosz przyniosła. Za niektóre łozę płacono po

zywa się sam fundusz zebrany, który przeszło 2,000 rsr. wynosi.

I myślałby kto może iż warszawianie, znudzwszy się tyloma widowiskami, zapragnęli dać spocząć trochę uwadze i kieszeni. Ale gdzie tam, warszawianie są nieustrudzeni, kiedy idzie o korzyść ubogich, o pożytek i dobro ogólne. Ten ostatni względy, połączony z zamiłowaniem pięknej i wyborowej muzyki, wpłynął na zapełnienie słuchaczami ogromnego cyrku na placu zielonym, w czasie koncertu na dochód Instytutu muzycznego. A był to rzeczywiście jeden z tych olbrzymich koncertów, na które zdawałoby się że nasza epoka wyłączny uzyskała przywilej, przy których dawniejsze zwyczajne muzyczne zebrania nikną jak klecha przy organie. Na ten dzień bowiem zebrało się pospolite ruszenie wszystkich warszawskich zdolności muzycznych; artyści i amatorowie podali sobie ręce: kto gra na jakim instrumencie, kto jakkolwiek śpiewowy posiada zasób, ten musiał do tęj ogólnej składki swęj grosz wdowi przyłożyć. Dwieście przeszło osób wzięło udział w tęj uroczystości, niemało czasu zabrało ułożenie tego wszystkiego, nauka i próby, ale tęcz skutek za to w zupełności oczekiwaniom odpowiedział. Za staranny wybór części składających programat, odpowiadają znane i cenione powszechnie nazwiska muzyków, którzy się trudnili urządzeniem tęj świetnej uroczystości; trzeba jednak przyznać, że nawet ta ich umiętność, te ich starania nie byłyby może tyle pięknego owocu wydały, gdyby nie pocziwa myśl i dobra wola, która tu każdego ożywiła szeregowca. Tak to i najlepszy wódz, bez dobrego a zaufanego weń wojska, nie wygra walnej bitwy. Tutaj zwycięstwo było świetne, najświetniejsze, a obeszło się ono bez krwi rozlewu, i zdobycz jaką Instytut muzyczny z kilkunastu tysięcy złotych tym sposobem zabranych w niewolę uczynił, naprawdę nikomu wielkiej nie przyniosła straty. Szkoda tylko że dla dopełnienia naszego porównania, nie było tam tęj sławnej Saksowskiej tręby, od której huku, jak piszą sprawozdawcy, mury się trzęsę, ani tych świeżo do Anglii sprowadzonych organów parowych, które, zdaniem znawców, nawet huk dział na polu bitwy przygłuszać mają; chęry bowiem były tak silne, że nawet tym groźnym pomocnikom potrafiłyby się oprzeć.



BABUNIA

(Rysował i skomponował Gerson, rytował Kübler w drzeworytni Tygodnika.)

Kronika tygodniowa.

O dobroczynności! uchylamy czoła przed pobożnym sztandarem twoim, i nie chcemy ani nie możemy żadnemi uwagami zakłócać pięknych twych uczynków.

Bo i jakże nie pokłonić się tym warszawianom, jakże nie wypalić czasem czulego madrygału i wdzięcznego komplementu dotych pięknych warszawianek

100 rsr., za niektóre krzesła po 25 rsr.; innych nadatków mnóstwo. O samém przedstawieniu zamierzam, żeby nie stawiać się w położeniu owęj liszki z bajki, a tylko oddawszy należny hołd trudom i poświęceniu się wszystkich amatorów i amatek, którzy i które do tego przedstawienia należeli, winienem wspomnieć, że wdzięczność za sam pomysł i wprowadzenie go w wykonanie winniśmy hrabinie Augustowej Zamojskiej, która należy do najgorliwszych i najczynniejszych opiekunek ubogich u nas. Najwymowniej tu od-

Resztę zostawiam sprawozdawcy naszemu muzycznemu, chętnie wyznając niekompetencyę moję w szczegółowem ocenieniu wszystkich części składowych koncertu. Wiem tylko że na mnie sprawił on efekt tak silny, jak głos tego sławnego woźnego z byłych trybunałów polskich, który, podług słów tradycyi, jak krzyknął dziś, to go aż wczoraj słyhać było.

Rauty nie ustają, mieliśmy ich parę i w zeszłym tygodniu, a fizyognomia ich zawsze ta sama, brak im bowiem ożywienia, skutkiem gaśnięcia u nas żywio-

łów konwersacyjnych. Dziwna rzecz jak wybitna różnica pomiędzy starszym pokoleniem a tym, które obecnie spycha je z pola. Młodszy Dumas dotknął trochę tej różnicy w najnowszym swoim dziele dramatycznym *Le père prodigue*, i to może właśnie poruszenie jednej z najczulszych stron naszego społeczeństwa stanowiło główny powód powodzenia tej sztuki. Młodsze bowiem pokolenie odznacza się niepojętym jakimś chłodem, powolnością jakąś uczuć, myśli, oziębłością moralną i fizyczną. Oni wszystko *na zimno* robią, jak bardzo słusznie powiada p. Józefowicz w swojej komedii *Po naszymu*. Ten chłód czuć się daje we wszystkich stosunkach społecznych i towarzyskich, a daleko on naganniejszy i niebezpieczniejszy nawet podług nas, aniżeli dawniejsze wady i zboczenia, w których jednak zawsze można było poznać serca silniej bijące i dusze ognistsze. Do czegoż to eskimowskie usposobienie ma nas doprowadzić? Czyliż społeczeństwu naszemu naznaczona rybia jakaś metamorfoza? Czyliż przerodzić się wszyscy mamy w przyszłości na istoty krwi zimnej? Dobrze byłoby wiedzieć o tym, i ośmielamy się kwestyą tę poddać pod rozstrzygnięcie akademii lekarskiej, która nie wątpimy że zapragnie pilnie zastanowić się nad temperaturą krwi naszej i zjawiskiem ciągłego jej chłodnięcia.

Przedstawienie *Listu żelaznego* w teatrze Wielkim, odwlekło się na dni kilka, chociaż próby dość dawno już trwają. Ale tym razem nie dziwimy się, zwłaszcza że dramat większych rozmiarów jak *List żelazny*, dramat cieszący się już uznanym rozgłosem w literaturze, wymaga podwójnej staranności w przedstawieniu. O ile wiemy, wielkie ku temu poczyniono przygotowania, wszystkie role obsadzone przez najlepszych artystów, ubiory i przyrządy nowe i z historyczną wykonane ścisłością; słowem, będzie to bardzo piękne przedstawienie, i radzibyśmy z duszy, ażeby skłoniło publiczność naszą do dramatu, od którego zaczyna już ona odwykać.

Wkrótce po *Liście żelaznym* mają być przedstawione kolejno *Mąż i konkurent* i *Majątek albo Imię*, dwie komedye premiowane p. Korzeniowskiego. Obiecują nam w tym roku mnóstwo sztuk oryginalnych, bo też niemało ich leży w zapasie. Słyszeliśmy także iż w teatrzyku dobroczynności danym będzie przedstawienie, z którego dochód obróconym zostanie na konkurs za najlepszą komedya. Wyborna to myśl, bo tym sposobem obędzie się bez składek, zawsze dla zbierającego je uciążliwych.

Kiedy w Niemczech tylko drobne znajdują się dzieła Wita Stwosza, a tylekroć już publikowane były, to największy i najpiękniejszy z jego utworów, wielki ołtarz kościoła Maryackiego w Krakowie, cztery wieki czeka, aby go Polska i zagranica poznać mogły. Wprawdzie Brodowski, Karol Baliński i M. Cercha kusili się o wykonanie tego arcydzieła, rozpoczynając bądź jego rysunki, bądź akwarelle; ale wydawcom dopiero Wzorów sztuki średniowiecznej danym było wystąpić z tą publikacją, wykonaną po dwuletniej prawie mozolnej pracy z akwarelli Ludwika Łepkowskiego. Prócz częściowych tablic, przedstawiających w czterech planach środek, skrzydła, spód i wierzch ołtarza, ma on być wydany w zakładzie litograficznym p. Maksymiliana Fajansa w złożeniu, na jednym wielkim arkuszu. Nie wątpimy że w Europie, a osobliwie w Niemczech, tak interesujących się utworami Stwosza, publikacja ta znajdzie jaknajlepsze przyjęcie, a akwarelista jak i chromolitografista mieć będą pole do okazania, że i u nas tego rodzaju prace nie tak nisko stoją. Pojedyncze części akwarelli ołtarza były dotąd na wystawie sztuk pięknych w Warszawie i w Krakowie, a spód w Berlinie, i wszędzie znawcy podziwiali dokładność w oddaniu najdrobniejszych szczegółów i odwzorowanie charakteru temu arcydziełu właściwego. Trudna to i mozolna praca, a pan Ludwik Łepkowski, podjąwszy się jej, dowiódł prawdziwego poświęcenia; bo nawet, jak się dowiadujemy, skutkiem patrzyenia dwuletniego przez lupę, uległ niebezpiecznej chorobie oczu.

Donoszą nam że w czasie terażniejszego wielkiego postu (na św. Józef) odbył się między innymi ślub dość zamożnej pary tak cicho i tajemnie, że nikt oprócz najbliższych krewnych nie wiedział o nim. Skromność i oszczędność były tu także na pierwszym względzie, nie było żadnej świetności ani okazałości zewnętrznej, ciche błogosławieństwo kapłana połączyło nowożeńców, a serdeczna familijna wieczerza zakończyła obrzęd.

Powód jednak tego braku wystawności, który wielu poczytywało rodzicom państwa młodych za niewczesne oszczędzanie się w najuroczystszej chwili życia, był szlachetny. Nowopobrani bowiem cały fundusz oszczędzony na wydatkach ślubnych postanowili ofiarować na budowę klasztoru wznoszącego się w Częstochowie (Maryawitek).

Z chęcią podajemy w kronice naszej ten fakt, i może oddanie hołdu publicznego tak dobrze zrozumianej oszczędności pobudzi naśladowanie.

Korrespondentowi donoszącemu nam o *nowym przemyśle obiadowym* zmuszeni jesteśmy odpowiedzieć, że fakta tego rodzaju, jako czysto indywidualne, niewiele interesują publiczność czytającą, bo Warszawa, jak każde wielkie miasto, posiada tego i innego rodzaju nagannych przemysłowców niemało. Musimy więc tej korespondencji odmówić miejsca w kronice.

Otrzymałszy sprostowanie tyżące się podanego przez nas w przeszłym tygodniu doniesienia o ulepszeniach mających się w Ojcowie wykonać. Stacya omnibusów odwożących do Ojcowia i napowrót, urządzoną będzie nie w Strzemieszycach, z powodu braku tamże odpowiedniego gmachu stacyjnego, ale w Dąbrowie, droga zaś bita o której wspomnieliśmy, prowadzi tylko z Dąbrowy do Olkusza; pomimo zaś przedsięwziętego pośpiechu, w żadnym jeszcze razie w roku bieżącym droga bita z Olkusza do Ojcowia ukończoną być nie może. Również dodać należy, że w sąsiednich zdrojowiskach istnieją kąpiele ciepłe i zimne, oraz kąpiele parowe pana Kowalskiego, co przy zbawiennym wpływie zdrowego powietrza doliny ojcowskiej pozwoli tam połączyć kuracyą z rozrywką. Wszelkie zresztą dokładniejsze szczegóły będą ogłoszone w osobnym Przewodniku po dolinie ojcowskiej, mającym wyjść na widok publiczny.

Lola Montez zginęła podobno w pojedynku w Ameryce. Jest to może przestroga dla niektórych dam naszych, które się zapamiętałe uczą strzelać i męskim oddają zabawom. Jak Bóg przypuści, to i do kołbiety wypuści.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

M U Z Y K A.

Purytanie. — Koncerta. — Pan Łada.

Kiedy dramat i komedya zdają się wypoczywać po wrzekomych wysileniach, które nam, z bliska patrzącym, wydaje się jakąś dziwną zagadką, jedna tylko opera rąk nie opuszcza, na laurach spoczywać nie myśli, darząc nas córaz nowymi utworami. *Purytanie*, jedna z najpiękniejszych oper Belliniego, d. 17 b. m. ukazała się po raz pierwszy w języku polskim. I tutaj znowu śpiewacy nasi dowiedli, jak wrodzone ich zdolności z korzyścią zastosowanymi być mogą, gdy role właściwie są obsadzone. Panna Dowiakowska, której głos śliczny, sopranowy zdaje się igrać z największymi trudnościami wokalnymi, miała szerokie pole rozwinięcia wszystkich jego zasobów. Słyszeliśmy w roli Elwiry kilka włoskich śpiewaczek, lecz żadnej czegoś brakowało; jeżeli która arya drugiego aktu i duet trzeciego dobrze wykonała, to pewnie w sławnym polonezie pierwszego aktu nie dostawało jej owej lekkości i swobody wokalizowania, stanowiącej najcenniejszy warunek tego pięknego ustępu. Panna Dowiakowska, mówimy to szczerze, wszystkie powyższe przytoczone miejsca wykonała z precyzją i dokładnością nic do życzenia nie pozostawiającą; owszem, w arii tyle uczucia, tyle rzewności w śpiewie objawiła, że wstrząsnęła, zelektryzowała słuchaczy. Pokazuje się więc że niekoniecznie we Włoszech szukać potrzeba dzisiaj tajemnic dobrego śpiewu; kto chce pracować, a natrafi na rozsądnego i znającego swą rzecz przewodnika, ten i w kraju należycie ukształcić się może i z czasem pozyskać talentu swego uznanie. Pan Kamiński w roli Artura był wybornym. W kwartecie pierwszego, w arii i duecie trzeciego aktu, miał on sposobność rozwinąć niesłychanie rzadkie dzisiaj przymioty świeżego i jędrnego głosu tenorowego, tudzież uczucie i zapał, jakimi śpiew swój ozdobił. Gdyby tylko mniej skorym był do sięgania po nuty z natury swęj wysokości leżące po za obrębem swobodnego wokalizowania, a narażające artystę na zbytne wysilenia i na podejrzaną czy-

stości intonację, to w roli Artura p. Kamińskiemu nie mielibyśmy nic do zarzucenia. Panowie Miller i Ziolkowski także niemało przyczynili się do powodzenia *Purytanów*, szczególnież wykonaniem z siłą i ogniem duetu w akcie drugim.

O koncertach na ten raz w krótkości tylko wspomnimy. Jeden z nich, dany w salach redutowych przez amatorów, pod przewodnictwem Józefa Wieniawskiego, na dochód zakładu dla biednych pozbawionych wszelkiej opieki pod nazwą *Przytulisko*, jak się tego zgóry można było spodziewać, udał się najzupełniej. Również pomyślny skutek uwieńczył parę innych koncertów, jakie miały miejsce w domach prywatnych na rozmaite cele dobroczynne, a pomiędzy innymi ułożony i wykonany przy ulicy Niecałej na rzecz Instytutu muzycznego, z którego, jak nas zapewniano, zysk czysty wyniósł przeszło 800 złp. Zato na koncercie p. Łady, danym zaprzeszłej niedzieli w salach redutowych, jakiś chłód wiejący ze szczupłego grona słuchaczy, wpłynął zapewne i na koncertanta. Pan Łada, skrzypek utalentowany, od czasu jakieśmy go wrównież niekorzystnych dlań okolicznościach przed dwoma czy trzema laty słyszeli, przybrał w grze swojej jakieś niesmaczne forszlaczki, trylliki, przed laty czterdziestu uchodzące za ozdobę w muzyce, jak czarne muszki na twarzach dawniejszych jeszcze elegantek, lecz które dzisiaj zaliczyć należy do zabytków archeologicznych. Jakaś smętność i niepewność w passażach stanowi ujemną cechę wykonawstwa tego artysty, dodatnią zaś piękność tonu i czystość intonacji.

Zamknięcie się w roli koncertowego, prowincjonalnego wirtuoza, zagroziło snadź p. Ładzie drogę do rzeczywistego postępu; artysta zaś który nie postępuje, cofa się, bo wszelka zastołość jest antytezą życia i ruchu; gdzie niema ruchu, tam martwota ze wszystkimi następstwami swojemi zniszczyć musi najpiękniejsze i najrzadsze nawet dary natury.

GROBOWCE OPALIŃSKICH W RYTWIANACH.

W rozległych lasach w powiecie sandomierskim, nad brzegami rzeki Czarny, otoczonymi wyniosłymi jodłami, sosnami i pysznymi świerkami, pod wsią Rytwiany, jest mała puszcza, w pośród której wznosi się kościół w pięknym włoskim stylu, częścią z cegły, a częścią z ciosowego kamienia zbudowany, należący niegdyś do ks. kamedułów. Wystawił go w r. 1621 ówczesny dziedzic Rytwian Jan Tencyński wojewoda krakowski, sprowadził zakonników i bogatemi dochodami ich opatrzył. Pustelnię tę uposażyła jeszcze więcej w r. 1662 córka jego Izabella, wdowa po Łukaszu Opalińskim, zwłaszcza gdy zwłoki jej męża, a następnie i syna tu złożone zostały. W około głównego gmachu był okazały ogród, a w nim jedenaście schłodnych małych domków, mieszczących tyłuż zakonników, którzy przez dwa wieki modlitwą i pracą około ziemi się zajmowali. Gdy w r. 1817 zgromadzenie kamedułów suprymowano, znikło to wszystko, kościół zaś, poddany pod zwierzchnictwo plebana Połanieckiego, tylko w dni świąteczne dla służby Bożej jest otwarty. Pomimo jednak takiego opuszczenia, dotąd dość szczęśliwie opiera się on ruinie, a wewnątrz przechowuje kilka zabytków starożytności, pomiędzy którymi są i nagrobki wyżej wspomnianych Opalińskich, na załączonym drzeworycie przedstawione: Łukasza marszałka nadwornego koronnego, zmarłego w r. 1662, tudzież syna jego Stanisława, starosty nowomiejskiego, zmarłego r. 1702. Łukasz Opaliński, był to znakomity filozof i polityk za czasów panowania Władysława IV i Jana Kazimierza, człowiek bardzo uczony, w łacińskim, greckim i hebrajskim języku biegły. Mając zaledwie piętnaście lat, już był w czytaniu książek tak zatopiony, że między młodzieżą polską największą o zdolnościach swoich rokował nadzieję. Po ukończeniu wyższych nauk w Krakowie, zwidzał potem sławniejsze w Europie akademie, gdzie zabrał znajomość z najuczciwszymi mężami owego czasu, z którymi ciągle miał stosunki. Po powrocie do kraju, chociaż jeszcze młody, już do wielkich spraw od stanów rzeczypospolitej był używanym, i nietylko piórem, ale ręką i orężem, kiedy była potrzeba, niemało oddawał usługi. W początkach panowania Władysława IV, hussarską chorągiew swoim kosztem uzbroił i sam nią dowodził. Podobnież na zborowską wyprawę niemały poczet ludzi wojskowych swym kosztem przyprowadził. W r. 1655 pod-

czas oblężenia Warszawy, siłą zbroją swoim nakładem wystawioną chwalebnie dopomagał; zaś w roku 1662, kiedy go doszły wieści o konfederacji żołnierskiej, dla bezpieczeństwa króla Jana Kazimierza przywiódł na sejm do Warszawy znaczną liczbę wyborniej piechoty za swoje pieniądze zgromadzonej, odparłszy wprzód Rakoczego z Węgrami od zamku swego Rytwianach. Wszędzie z niewzruszoną stałością stawał przeciw Szwedom, bez względu na ponoszone ztąd na majątku straty. Słusznie też nagrodzony starostwem hrubieszowskim, wnet został marszałkiem nadwornym koronnym, na którym to urzędzie, nie odstępując nigdy króla w jego smutnych przygodach, był mu zawsze wiernym, służąc zdrową radą i pomocą. Dzielnym ten minister w znajomości swego kraju, tudzież ościennych mocarstw niepospolicie biegły, obywatel wzorowy, mąż powszechnie wielbiony, zmarł w Rytwianach w r. 1662. W literaturze naszej została po nim pamięć ze znakomych prac w języku łacińskim i polskim, chociaż nie wszystkie wyszły z druku. Z tych celniejsze są: Obrona Polski przeciw Barkłajowi, drukowana po łacinie w Gdańsku 1648 r., a napisana z powodu wydanego w Londynie w r. 1614 dzieła sławnego Barkłajusza autora Argenidy, satyryczno-politycznej treści p. t. Wizerunek albo opisanie animuszów pięci najprzedniejszych narodów w Europie, w którym kreśląc charaktery Hiszpanów, Francuzów, Włochów, Niemców i Polaków, nietylko niedokładne ale i nieprzychylnie o nas umieścił wiadomości. Opaliński w swojej odpowiedzi podaje prawdziwe o stanie ówczesnym kraju relacje, broni sławy całego narodu, a wystawiając dobrą jego stronę, zbija mylne i fałszywe mniemania. Obrona ta przedrukowana była w tomie 1 zbioru historyków wydanych przez Mitzlera. Niemniej ważne jest inne jego łacińskie dzieło, drukowane w r. 1649 w Krakowie pod zmyślonem nazwiskiem Pawła Naecoeli: O powinnościach ksiąg troje, które kilkakrotnie potem przedrukowane i do użytku szkolnego było przeznaczone. Dalej są w języku polskim: Mowy w niektórych materyach politycznych, Witanie na sejmie Władysława IV r. 1638, wreszcie i wiersze, które z rękopismów zakładu Ossolińskich we Lwowie dopiero w r. 1780 wyszły p. t. Poeta Łukasza Opalińskiego, w Krakowie u Gröbla w 8ce. W małym tym pisemku autor podał prawidła których się poeta trzymać powinien, rzecz swoją wykładając rozsądnie i wcale niezłym wierszem. Nadto zostawił w rękopiśmie: O rządzie rzeczypospolitój i sposobie odbywania sejmów za najwyższym króla Władysława i senatu upoważnieniem; O powodzie kaerstwa i środkach przeciwnemu; Listy moralne, nakoniec: Sąd o państwie i wojnach Szwedów w cesarstwie przez lat 30 prowadzonych. O synie jego Stanisławie, w kościele rytwiańskim spoczywającym, a razem na nagrobku przedstawionym, niewiele umiemy powiedzieć, chociaż był to pan bardzo możny i wielkie dostatki po sobie zostawił. Zaś o Rytwianach to jeszcze dodaję, że zestawiony był do obronnego zamku, który był tu niegdyś, pozostał tylko jeden węgiel ze swoją podporą, a włość, przechodząc różne koleje, od książąt Lubomirskich dostała się do hrabiów Potockich, którzy bez wątpienia nie dozwolą, aby piękny zabytek budownictwa jakim jest kościół pokamedulski i szacowne w nim pomniki rzeźby ostatecznej uległy zagładzie.

KSIĄDZ JAKUB FALKOWSKI

I INSTYTUT GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH
W WARSZAWIE.

Na każdej prawie ulicy stołecznego grodu naszego spotykać nam się przychodzi z jakim zakładem miłosierdzia. Tu gmach poświęceniem jednego biednego kapłana wystawiony wychowuje tysiące opuszczonych niemowląt; tu dom żyjący ubogich starców; tu miejsce dobrowolnej pokuty dla nieszczęśliwych istot, które upadły aż do wyzucia się ze wstydu niewieściego; tu znowu szpital, tu ochronka, tu żłobek, tu przytulisko dla nędzynie mającej własnego dachu. I długo przychodzi każdego oprowadzać po mieście i wiele mu rozpowiadać musimy, jeżeli chcemy go wtajemniczyć w to życie miłości naszej Warszawy. Względem czytelnika naszego jednak będziemy względniejsi, i jak na ten raz, zamierzamy uwagę jego zając jednym tylko takim przybytkiem miłości bliźnie-

go i jednym człowiekiem, któremu ten przybytek zawdzięczamy.

Głuchoniemi w społeczeństwie smutnemu bardzo ulegali losowi, i to przez długi szereg wieków, byli bowiem zostawieni samym sobie. Świat pogański obojętnie patrzył na ich nieszczęście. Miłość chrześcijańska nawet dopiero w zeszłym stuleciu podała im rękę pomocy. A nie idzie ztąd żadna ujma miłości, tej wielkiej potędze chrześcijańskiej, która tyle ran społecznych zagoiła i która ich tyle ciągle goi: miłość nie mogła ponieść od razu pomocy głuchoniemym, bo do tak trudnego dzieła trzeba było jeszcze doświadczenia wieków.

Żyli więc opuszczeni głuchoniemi życiem smutnym, ciemnym, środkującym między nocą instynktu, a półświatłem rozumu. Słowo, ten tajemniczy węzeł łączący umysł z umysłem, serce z sercem, to źródło prawdy i umiejętności dla każdego pojedynczego człowieka, nie mogło, dla wady organizmu, przeniknąć do ich duszy, aby tam wnieść światło i rozbudzić uśpioną myśl. W głębokim milczeniu, bez poznania celu życia, nie zamieniwszy z nikim słowa miłości i braterstwa, dobiegali ci biedni niewolnicy ciała kresu swego żywota. Ztąd imiona mężów którzy pierwsi otworzyli wrota tym nieszczęśliwym do życia społecznego, zajmując się ich nauczaniem, pozostaną na zawsze otoczone tą czcią, jaka się należy wielkim dobroczyńcom ludzkości.

U nas takim mężem był ksiądz Jakub Falkowski.

Urodził się on r. 1774 we wsi Budlewie, w obwodzie dzisiejszym białostockim. Szkoły ukończył w Drohiczyźnie u księży pijarów, do których zgromadzenia wstąpił 1792 r., a po odbytych studiach zakonnych, r. 1795 kolejno pełnił obowiązki nauczyciela w Łomży, Drohiczyźnie i Szczuczynie.

Obok niepoślednich zdolności i zamiłowania pracy, w przyszłym nauczycielu głuchoniemych wcześniej okazywało się to żywe współczucie dla każdej niedoli ludzkiej, które rozwijając się pod ciepłym żywej wiary, zamieniło całe późniejsze jego życie na szereg samych czynów miłości. Uczniem jeszcze szkoły drohiczyńskiej będąc, bolał już nad drobnymi kłopotami i potrzebami uboższych od siebie kolegów, i sam niezamożny, chętnie ponosił dla nich ofiary, na jakie go wówczas stać było.

Pierwsze kazanie, jakie miał po ukończonym nowicyacie, było tak gorącym słowem miłości, iż nietylko ogólne wywołało w słuchaczach wzruszenie, ale nieprzyjaciela ojca młodego kaznodziei skłoniło do publicznego przeproszenia i do nagrodzenia tych wszystkich przykrości, jakich sąsiad możny względem biednego zagrodowca poprzednio się dopuszczał. Za pierwszym przemówieniem pokazała się w nim potęga tego słowa miłości, które później przeniknąć miało aż do duszy głuchych, przewyciężywszy swą siłą wszystkie przeszkody natury. Powołanie kapłańskie i nauczycielskie jakiemu się ks. F. oddał, przedstawiało obszerne pole działania, tu też pokazał się on i ojcem i bratem uczącej się młodzieży, wnikając w jej potrzeby, dzieląc się z nią swym światłem, swym sercem i swymi szczupłymi zasobami. W tym właśnie peryodzie, gdy był nauczycielem w Szczuczynie, Opatrzność postawiła mu na drodze życia siedmioletniego niemowę, Piotra Gąsowskiego. W czułym sercu ks. F. powstała myśl zajęcia się nauką tego upośledzonego od natury dziecięcia, i spotkanie to dało krajowi naszemu pierwszego nauczyciela głuchoniemych. Tak samo we Francji spotkaniem dwóch dziełczynek głuchoniemych w księdzu de l'Epée obudziła się myśl podobnegoż nauczycielstwa. Nie od razu jednak ks. F. mógł się wziąć do swego dzieła. Radzca Zölner, wizytujący r. 1803 szkołę szczuczynską zostającą podług ówczesnego podziału kraju pod rządem pruskim, zwrócił swą uwagę na młodego kapłana, przedstawił go rządowi jako obiecującego wiele nauczyciela, i wkrótce ks. F. wysłany został do Berlina, dla uzupełnienia wyższych wiadomości naukowych. Wtenczas to z myślą o swym Piotrze Gąsowskim odwiedzał często instytut głuchoniemych w stolicy Pruss, choć z odwiedzin tych żadnej nie odnosił korzyści, metodę bowiem nauczania tajemnicą jeszcze przed obcymi wówczas pokrywano. R. 1804, powróciwszy na nauczyciela do Drohiczyzny, zabrał z sobą głuchonieme dziecię, i odtąd właśnie rozpoczęła się ta jego mozolna droga nauczycielstwa głuchoniemych. Jeżeli dziś jeszcze, przy wszelkich uła-

twieniach i pomocach wydoskonalonej metody, nauczanie to z tylą trudami jest połączone, iż te jedynie miłością szczęśliwie pokonane być mogą, to jakże mozolnie się musiał ks. F., jakże do zniesienia tych mozolów wielkim jego serce i silną jego wola być musiała, skoro brał się do dzieła swego bez żadnej znajomości sposobu nauczania. Wszystkie godziny wolne od pracy szkolnej poświęcał swemu wychowawcy; usiłowania jednak wszelkie były daremne, póki nie wpadł na myśl podania głuchoniememu pojęcia różnego znaczenia dźwięków, z różnego układu ust mówiącego. Myśl tę długą pracą rozwinięszy, na wzór znaną już poprzednio metody niemieckiej Heinekego, w przeciągu lat trzech ucznia swojego na takiej postawił stopie, iż ten mógł czytać, rozumieć to co czyta i z ust mówiącego zbierać wymawiane wyrazy. R. 1807, po objęciu rektorstwa szkoły szczuczynskiej, ks. F. pomieścił tu swego wychowawcę, który odtąd wspólnie z inną młodzieżą naukowe odbierał wykształcenie, a znakomitemi postępami swymi zwracał na siebie ogólną uwagę. Głuchoniemi taki był u nas wówczas nadzwyczajnym zjawiskiem; wizytujący też szkołę szczuczynską nie omieszkiwali donosić o tej osobliwości Najwyższej izbie edukacyjnej. W skutek tych doniesień ks. F. r. 1809 wezwanym został do Warszawy, dla naocznego wykazania sposobu i rezultatów swego nauczania. Wtenczas to powstała u nas myśl założenia instytutu dla głuchoniemych i warszawskie Tow. przyjaciół nauk ogłosiło w złotym medalu nagrodę dla pierwszego założyciela tego instytutu. Ks. F. rozbudził więc poczucie obowiązku ciążącego na społeczeństwie względem tych nieszczęśliwych, ale sam zyskawszy pochwały ogólne, wrócił do dawnych zatrudnień, do swojego rektorstwa w Szczuczynie. Pracował wiele dla ubogiej młodzieży, zbierał wsparcia, zakładał i objeżdżał szkółki elementarne, zgromadzał do siebie nauczycieli tych szkółek, zgromadzonych swym doświadczeniem pedagogicznym oświecał, swym gorącym słowem dla sprawy ludu zagrzewał; o głuchoniemych jednak zdawał się już, po ukończonym wykształceniu Gąsowskiego, nie myśleć więcej. Tow. przyjaciół nauk bez wątpienia miało na myśli ks. F. ogłaszając swoje premissum, ale ten nie sięgał wcale po nie. Dla ludzi powszednich było aż nadto wiele przeszkód odstrasających od podjęcia rzuconej myśli, ale ks. F. nie był człowiekiem powszednim, życie jego całe dostatecznie o tem przekonywa. Nie praca go też odstępczała, bo pracą żył ciągle; nie brak funduszków, bo wierzył w Opatrzność i w serca ludzkie: odwoziła go od tego jedynie pokora, pokora głęboka, naiwna, jaką tylko żyć mogą dusze czyste i proste tych, którym obiecane jest królestwo niebieskie. Pokora ta ukrywała wiele jego dobrych uczynków, a zdobiła wszystkie. Pokora ta podała mu miano *Jakuba grzesznego*, jakim lubił się sam nazywać, gdy go zewsząd otaczano czcią i honorami. Pokora ta podyktowała mu owe nieporównanej prostoty i szczerości słowa, jakie czytamy w jego *Wzmiance o początku i postępie Instytutu etc.*: „rzetelność wymaga, mówi on, abym wyznał, że trafem na przewodnika instytutu przeznaczony, najmniej do jego wzrostu przyczynić się nie zdołam, a opieszałością moją postęp jego wstrzymując, pochwały i nagrody cnotliwym współpracownikom należne, niegodnie odbieram. Każde pomyślenie o tem zawstydzia mnie sprawiedliwie i bojaźnią przeraża, abym nie był pociągnięty przed Bogiem do odpowiedzialności za przywłaszczanie sobie cudzych zasług.“ Tak mówił ks. F. wtenczas, gdy już instytut był założony jego poświęceniem; po uwieńczonej pomyslnym skutkiem pracy, opieszałym i nieudolnym się nazywa, naturalną więc było rzeczą, że wtenczas gdy wszystko było dopiero do zrobienia, nie porywał się do wielkiego dzieła, zostawiając je zdolniejszym od siebie.

Nizko sądził o sobie pokorny kapłan, ale wysoko cenili go ci, którzy byli wówczas przy sterze spraw publicznych. Izba edukacyjna r. 1815 wezwała go do przyjęcia na siebie tego ciężaru, pokora wymówką już być nie mogła, gdy nie on sam, ale najświetlejsi swojego czasu ludzie byli sędziami pytania, czy nauczyciel Gąsowskiego może być u nas założycielem instytutu głuchoniemych. Ks. F. przyjął wkładany na siebie obowiązek, ze szczupłym zasiłkiem udał się do Wiednia w celu obeznania się z metodą uczenia, a po rocznym blisko tam pobycie i po zwidzeniu innych tego rodzaju zakładów niemieckich, powrócił do kra-

ju wraz z trzema głuchoniemymi, których miał z sobą za granicą, gotów już do założenia instytutu.

Ale bięda w zarodku zaledwie że nie zniszczyła całej przyszłości nowego zakładu. Póki ks. F. był w Wiedniu, od niedostatku osłaniała go opieka tam bawiącej księżny Lubomirskiej, lecz za przybyciem do Warszawy ujrzał się zupełnie opuszczonym. Wytrzymał jednak tę próbę. Na poddaszu u krawca przy ulicy Mariensztat wynalazł dla siebie i dla swoich uczniów tymczasowy przytułek i ztąd bronił się nietylko biędzie, ale i potwarzy jaką przyczepiła się do zacnego kapłana. Zarzut, iż instytut wiedeński za pieniądze dał mu świadectwo o jego zdolnościach w nauczaniu głuchoniemych, okazał się wkrótce najniesprawiedliwszym, ale bięda nie ustawała; otrzymał więc zasiłek tysiąc złp. wynoszący, udał się do Szczuczyna, aby tam z dawniejszą swą posadą rektora połączyć obowiązki nauczyciela głuchoniemych. Wkrótce rzekł się jednak rektorstwa, oddając się wyłącznie głuchoniemym, których miał przy sobie w Szczuczynie aż do 15 września 1817 r., kiedy na wezwanie b. kom. rz. wyzn. rel. i ośw. publiczn. przeniósł się do Warszawy. Tu najprzód zamiarem było ks. F. dla braku funduszy założyć tylko szkołę dla przy-

chodnych głuchoniemych, ale napływ tego rodzaju nieszczęśliwych, ubogich po największej części, skłonił go do urządzenia dla nich wspólnego mieszkania, w którymby nietylko naukę pobierali, ale gdzieby zarazem i potrzeby ich były zaopatrzone. Wyznaczona wówczas etatem summa 12000 złp. wraz z dobroczynnymi ofiarami dostateczną się okazała do otwarcia instytutu d. 23 paźdz. 1817 r. Instytut nowy mieścił się początkowo w dwóch pokojach w pałacu kaźmierskim, z kąd wkrótce przeniesionym został do kamienicy pod nr. 391 na Krakowskiem-Przedmieściu. Ks. F. żył tylko dla swego instytutu. Cała jego pensja, wszystko co zrobił lub wyprosił, szło na opędzenie potrzeb nowego zakładu, ale przy pomnażającej się liczbie wychowalców i nauczycieli, wszystko to jeszcze nie wystarczało.

Głód w literalnym znaczeniu zagrażał nieraz instytutowi. Na biednego kapłana naszego przychodziły wówczas chwile gorzkiej zgryzoty i znużenia wśród tej ciągłej walki z potrzebami materyjalnymi. Wówczas przemysliwał o porzuceniu wszystkiego i schronieniu się do klasztoru. Ale takie zniechęcenie i osłabienie przemijało prędko. Opatrzność zniekanemu kapłanowi zawsze podawała jaką niespodzianą pomoc, a z bolesnych chwil duchowego przesilenia wynosił większy jeszcze zasób siły do pracy i ufności w opiekę Bożą nad swymi nieszczęśliwymi. Od czasu też powołania go na członka warsz. Tow. prz. nauk, i wręczenia mu złotego medalu przez toż Towarzystwo (3 maja 1819 r.) pomyślniejsze poczęły mu sprzyjać okoliczności. Roku 1820 arcybiskup warszawski Hołowczyca parafią Solec dał mu w zarząd, i tym sposobem przysporzył dochodów, które podparły zasoby instytutu. Instytut rozwijał się coraz silniej. Ks. F. marzył już o osobnym domu dla głuchoniemych, jako o niezbędnym warunku dalszego postępu. Długoby jednak przyszło jeszcze czekać na spełnienie tych planów, gdyby nie odwiedziny Najjaśniejszego Cesarza i Króla Aleksandra I w nowym zakładzie r. 1822. Wtenczas to, zapytany czegooby życzył sobie, ks. F. prosił Monarchę o fundusz na wybudowanie gmachu instytutowego.

Z wyznaczonej na ten cel summy 124,000 złp. przy ulicy Wiejskiej Nr 1737 stanął front dzisiejszego gmachu, oficyny zaś dawniejsze przerobione zostały na warsztaty. Nie mogła jednak powyższa summa wystarczyć na ukończenie budowy; ks. F. spodziewał się, że składki dobrowolne, w kraju całym zbierane, dopełnią tego funduszu. Zawiódł się jednak tą rzeczą.

znalazł zawsze dosyć chwil wolnych dla swoich głuchoniemych. Uczył nauczycieli, uczył dzieci, a nawet i bawił się z nimi, wynajdując coraz nowe, coraz pożyteczniejsze dla umysłu i serca dziełki rozrywki.

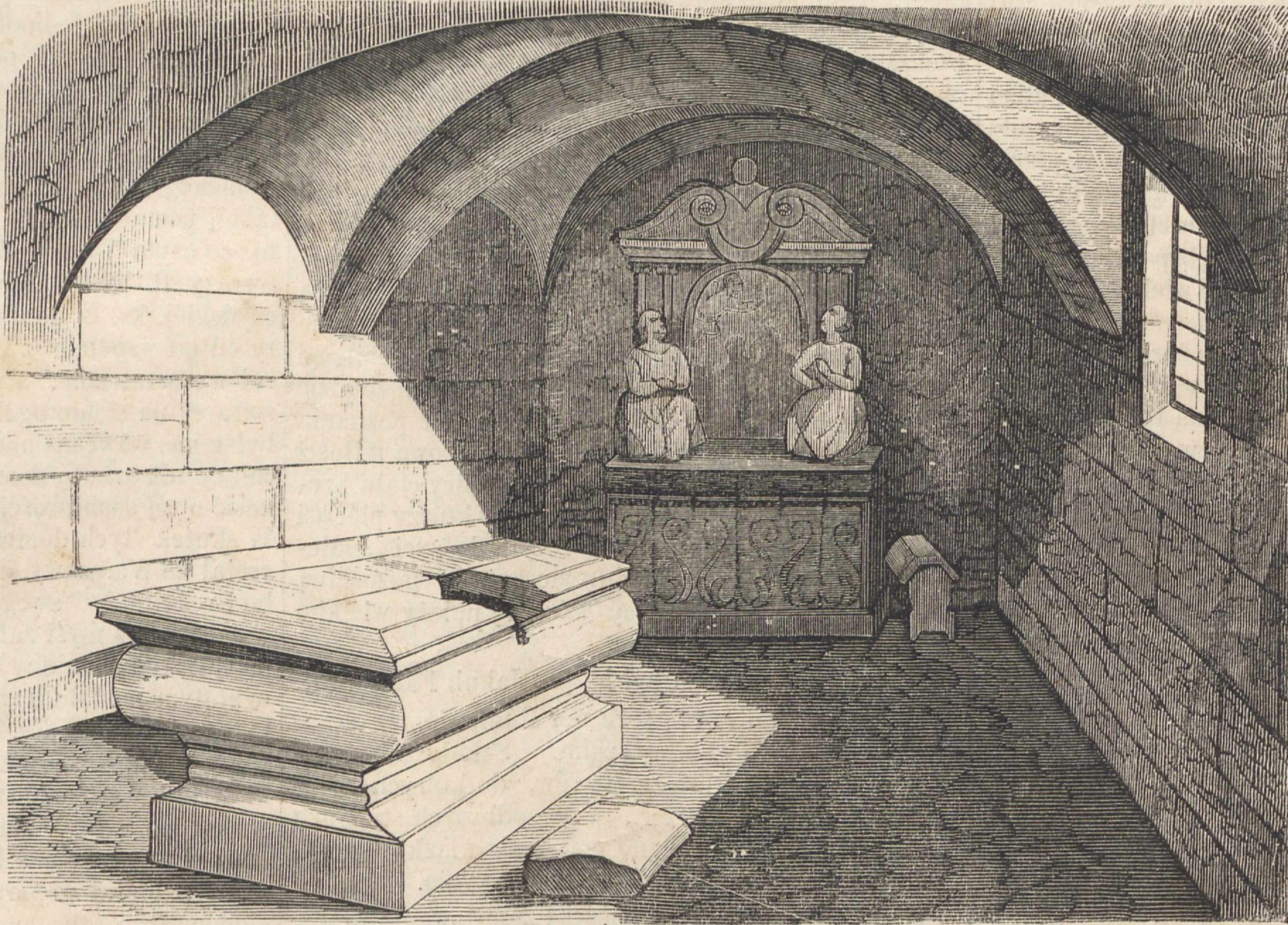
Ale długie lata pracy stargały mu zdrowie. Roku 1831 usunął się od zarządu instytutu, zatrzymawszy tylko probostwo św. Aleksandra aż dor. 1837, w którym otrzymał emeryturę. Ks. F. uważał urząd jako służbę dla społeczeństwa; gdy czuł, że służyć już tak dobrze i tak gorliwie jak poprzednio nie pozwalało mu ciało, schodził dobrowolnie z urzędu, ustępując nowym i świeżym siłom miejsca do pracy. Złożywszy jednak urząd rektora instytutu, nie zmienił swoich ojcowskich dla niego uczuć; do końca prawie życia był pomocą temu ukochanemu dziecięciu swych trudów. Pięć lat jeszcze bezpłatnie pełnił zastępczo obowiązki nauczyciela, a dochody jakie mu pozostawały od szczodrej daniny ubogim składanej, szły do kasy instytutowej. Przełożeni instytutu wymawiali się od tych datków; bolało ich, że ten który całe swe życie i zdrowie swoje oddał dla instytutu, ogołaca się i teraz dobrowolnie z funduszy, nie dbając o potrzeby chylącego się ku grobowi ciała. Ks. F. umiał jednak

zawsze na swoim postawić. Gdy nie przyjmowano od niego datków pieniężnych, on nadsyłał kupione za te pieniądze narzędzia lub sprzęt jaki dla instytutu przydatny. W r. 1842 wysłali go lekarze do wód maryenbadzkich; w podróży tej, z wielkim dla osłabionego zdrowia trudem, zwidział jeszcze zakłady niemieckie, dla dostarczenia swemu instytutowi nowych spostrzeżeń.

Ostatnie lata swoje spędził w Guzowie, w pośród rodziny wielbiącej cnoty zasłużonego starca, który i w tym miejscu spoczynku umiał znaleźć sobie pożyteczne zajęcie. Ks. F. żył miłością i nauczaniem, więc i tu musiał uczyć i biednych wspierać. Miejscowa szkółka elementarna była dla niego ostatniem polem pracy. Na jej codziennem odwiedzaniu i na roznoszeniu wsparcia po chatach wieśniaczych, cicho płynęły mu ostatnie dni żywota. Na kilka jednak miesięcy przed śmiercią wrócił do Warszawy, do swojego instytutu, modlitwą gotując się na przejście do innego życia. Dnia 2 września 1848 r. dziełki głuchoniemego wraz z rektorem i nauczycielami otoczyły łożo swojego dobroczyńcy, aby od niego otrzymać ostatnie już błogosławieństwo. Bóg dał mu w chwili zgonu pomoc wielką: umierał w pośród tych dzieł, dla których szczęścia żył; umierał w pośród tych mężów, którzy z nim trudy życia dzielili; widział że przyszłość instytutu zapewniona, w spokoju więc duch jego opuszczał ciało.

W żywocie tym ks. F. pominieliśmy wiele szczegółów, sądzymy jednak iż dostatecznie daliśmy poznać ducha zacnego kapłana, co przyszło nam tém łatwiej, że nie potrzebowaliśmy się trudzić przenikaniem w jego myśli i pobudki jego czynów. Jego myśli były proste, jego czynów pobudką miłość Boga i bliźniego. Ksiądz arcybiskup Woronicz nazywał go cnotą chodzącą; my na skrócenie charakteru księdza Falkowskiego użyjemy trzech tylko wyrazów: miłość, pokora i prostota.

Ks. F. nie był literatem, życie czynne nie pozwalało mu na to, pozostawił jednak po sobie, oprócz kilku książek do nabożeństwa, prace następujące: *Rozmaitości ofiarowane dzieciom*, *Izydor*, książka dla ludu.



GROBOWCE OPALIŃSKICH W RYTWIANACH.
(Rysował z natury Petzold, rytował Drażkiewicz w Warszawie.)

Ofiary były szczupłe i nieliczne, częstokroć dochodziły ręk jego wraz z dopiskami, które bolesnie go dotykały. Dokończenie przeto budowy pozostawił ks. F. następcom. Wewnątrz nie ustawała jednak jego gorliwość. W celu przyswojenia swemu instytutowi wszelkich ulepszeń zagranicznych, był jedną jeszcze wy-

zawsze na swoim postawić. Gdy nie przyjmowano od niego datków pieniężnych, on nadsyłał kupione za te pieniądze narzędzia lub sprzęt jaki dla instytutu przydatny. W r. 1842 wysłali go lekarze do wód maryenbadzkich; w podróży tej, z wielkim dla osłabionego zdrowia trudem, zwidział jeszcze zakłady niemieckie, dla dostarczenia swemu instytutowi nowych spostrzeżeń.



Ks. JAKUB FALKOWSKI.
(Rysował Gerson, rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.)

cieczkę z czterema głuchoniemymi. Serce ks. F. zupełnie przylgnęło do nowego zakładu, nie pomijał więc niczego cooby do jego wzrostu przyczynić się mogło. Roboty było wiele, bo i pasterskie obowiązki w otrzymanej nowej parafii św. Aleksandra wymagały także czasu, tém więcej, że ks. F. obowiązki te spełniał z całą sumiennością dobrego pasterza; a jednak

W rękopiśmie pozostało tłumaczenie znacznej części czterotomowego dzieła Jägera o wychowaniu głuchoniemych, *Kwiaty na pustyni, Jaskinia Beatusa*, tłum. z niemieckiego, *Historja świata do czytania dla ludu* i kilka słowników dla głuchoniemych. Duch w tych pracach ten sam, jaki był w życiu jego całym; wszędzie przebiega chęć przyniesienia pożytku dzieciom, ludowi i swoim głuchoniemym.

Po ks. F. zarząd instytutu sprawował aż do 1837 r. Wysocki Wawrzyniec, po którym przez pół roku zastępczo zarządzał Wądołowski, dopóki nie objął urzędu tego dzisiejszy rektor ks. Jozafat Szczygielski, który ofiarą przez siebie uzbieranymi dokończył budowy instytutu. Instytut, jako zakład naukowy porównany ze szkołami wojewódzkimi, zostawał pod opieką b. k. r. w. r. i oś. publ., dopóki w r. 1842 nie przeszedł pod zarząd rady głównej opiekuńczej zakładów dobroczynnych. Do składu naukowego instytutu, oprócz rektora, należy 9 nauczycieli, kapelan, dwóch kollaboratorów i ochmistrzyń dla oddziału żeńskiego. Porządku pilnuje dozorca i jedna dozorczyń. Głuchoniemi uczą się religii, wymawia-

i śpiewu. Obecnie ociemniałych znajduje się w instytucie 23 chłopców i 5 dziewcząt. Fundusz instytutu stanowi 90 stypendyów dla głuchoniemych i 35 dla ociemniałych. Stypendya te, częścią płatne ze skarbu królestwa, częścią z kass miejskich, razem wynoszą summę roczną 15,500 rsr. Prócz tego instytut pobiera ze skarbu królestwa 3165 rsr. na płacę nauczycieli i 1800 rsr. na ekstraordinarya. Kapitały od których instytut pobiera procent, ulokowane częścią w banku, częścią na hypotekach, wynoszą 36,707 rsr. 18 kop.

Dotychczas zapisanych w instytucie było 548 głuchoniemych i 46 ociemniałych. Tyle istot wróconych Bogu i społeczeństwu najwymowniejszą jest pochwałą ks. Falkowskiego, jakkolwiek zamiary jego dalej sięgały jeszcze.

Instytut warszawski tylko pewną liczbę głuchoniemych utrzymywać może, a ks. F. chciał dobrodziejstwo wychowania rozszerzyć do wszystkich tych nieszczęśliwych w kraju naszym. Podał więc myśl godną tak wielkiego miłośnika ludzkości, aby po seminariach duchownych i w instytucie nauczycieli elementarnych

spędzać. Nareszcie weszła i owa sławna hrabina, artystka-amatorka, pani piękna, obywatelka zacna. Skromnie zajęła swoje krzesło, na drugiem posadziła swego synka, a dziwiąc się nieco oryginalnej sąsiadce, z wszelką łagodnością zapytała:

— Co tu porabiasz moja kobięcino?

— To porabiam co i pani, siedzę na aksamicie aż mi zagrają, odpowiedziała Magda i poprawiła na głowie chustkę, którą państwo na dzisiejszą uroczystość jej zafundowali, a hrabina już nie śmiała więcej pytać.

Prawie wszystkie miejsca były już zajęte, gdy państwo Chapkiewiczowie, z całą pompą i szumem atłasów i francuzkiej rozmowy, weszli do salonu. Dwa miejsca dla rodziców były w trzecim rzędzie ławek, lecz nie zatrzymali się przy nich, bo wypadło córkę odprowadzić do Nru 5. Panna Abissynia z podniesioną głową, nie patrząc na szlachcianki, z których niejedna zazdrościła jej urody, figury i sztywnej spódnicy, wspaniałym krokiem przeszła salon i stanęła przy fotelu ze złożoną koroną.

— Ustąpcie no koboito! Przemówił surowo pan



INSTYTUT GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH W WARSZAWIE.

(Rysował z natury Ceglinski, rytował G. Röber w drzeworytni Tygodnika.)

nia, języka polskiego, arytmetyki, geografii, kalliografii, hist. naturalnej, rysunków, gimnastyki i rzemiosł, odpowiednio do usposobienia wychowanka lub woli opiekunów: stolarstwa, tokarstwa, introligatorstwa, szewstwa i krawiectwa; dziewczyny uczą się ręcznych kobiecych robót. Obecnie w instytucie znajduje się chłopców 75, dziewcząt 42; do szkoły niedzielnej, zostającej pod kierunkiem kapelana, dochodzi z miasta terminatorów 17; na nauki klasowe przychodzących jest dzieci 4 chrześcian i 5 mojżeszowego wyznania.

Przy instytucie głuchoniemych mieści się i instytut dla ociemniałych. Ks. Falkowski, za pierwszym swym pobytem w Wiedniu, powziął zamiar założenia u nas tego instytutu, i w rzeczy samej dwa razy chciał zamiar swój przywieść do skutku, r. 1822 i 1827, ale w obu razach, dla braku funduszy, szkołę tę zamknąć był zmuszony. Teraźniejszy dopiero rektor ks. Jozafat Szczygielski, w myśl ks. Falkowskiego działając, z zebranych darów osób dobroczynnych otworzył instytut ten d. 1 października 1842 r. Nauczyciele głuchoniemych, są zarazem nauczycielami ociemniałych, z dodaniem osobnego nauczyciela muzyki

do nauk zwykłych dołączano wykład instrukcyi głuchoniemych. Duchowieństwo przeto parafialne i nauczyciele elementarni dopelniliby, podług myśli ks. F., tego, czemu instytut warszawski, pomimo znakomitego swego rozwinięcia, podolać nie jest w stanie. Myśl ta dotąd oczekuje jeszcze na swoje urzeczywistnienie.

AMBICJA.

HUMORESKA

Władysława Maleszewskiego.

(Dokończenie).

Powoli salon zaczął się napełniać, wszyscy ze zdziwieniem spoglądali na dziewczę rozpartą w fotelu, wszyscy się uśmiechali, a Magda, obojętna na przemówki, wykrzykniki, półsłówka, słowa i śmiechy, siedziała spokojnie, do każdej pięknej damy śmiała się ochoczko i głośno, przyglądała się strojom, wszystkiemu się dziwowała, ale swoim porządkiem oburącz trzymała się krzesła, z którego co chwila chciano ją

Chapkiewicz, i biorąc Magdę za jakąś wiejską dziewczynę, która przez głupotę zajęła to miejsce, chwycił ją za ramię, chcąc jej pomóc do powstania; lecz Magda wyrwała mu się, ostro spojrzęła na całą rodzinę i powiedziała na całe gardło:

— Co, ja mam ustąpić? A państwo coście za jedni? Nie wyście mnie tu sadzali, nie wy mnie spędzicie.

— Coś ty za jedna? zapytał już wściekły sekretarz, a śmiech całej sali złość jego podnosił.

— Co ja za jedna? Magda z Drwalewa, a dzisiaj kucharka od państwa Wysokonoskich, odpowiedziała Magda, i niechając już więcej gadać, odwróciła się od zrozpaczonej rodziny.

Panna Abissynia stanęła w pasie i w wachlarzu szukała ratunku, matka radaby karku nakręcić Magdzie, a oczy wydrapać tym wszystkim, którzy niemi są zajęci, a pan Chapkiewicz wrócił się do przedsalonu i rozkazał policyantom natychmiast wyprowadzić kobiety. Dwóch drabów weszło do sali, przystąpiło do Magdy i wzięło ją pod ręce; ale co ruszą, to Magda, jak skuta z fotelem, razem z nim sięgnosi; nareszcie, widząc niepodobieństwo wykonania rozkazu, cofnęły

się z sali, a Magda zaglądając w oczy pannie Abissynii, tryumfująco się zaśmiała.

— Ty stój tu, szepnęła matka do córki, niech się sala zapadnie, a nie ustąpię, albo my na fotelu, albo on dziś grać nie będzie! I po tej groźbie znikła z salonu.

Tymczasem pan Chapkiewicz rozgniewany biegał w przedsalonie od kąta do kąta; uderzył policyanta, który mu doniósł że z Magdą rady dać sobie nie może, wyrwał się nawet z ręki żony, gdy ta, znając niepowściągliwość męża, starała się go umitygować. Stał dopiero w miejscu i zgrzytnął zębami, gdy wchodzili państwo Wysokonoscy.

— Panie rachmistrzu! zawołał tupnąwszy nogą.

— Co pan radzca rozkaże? zapytał pan Wysokonoski, lekko unosząc kapelusz nad wypomadowaną głowę.

— Co ja rozkazuję? ja pana proszę, abyś natychmiast wypędził swoją służącą z fotelu, który do nas należy.

— Ner 5?

— Tak panie Ner 5, to nasz; patrz pan, mam bilet! mówił pan Chapkiewicz, szarpiąc faworyty ze złości.

— Nie panie, Ner 5 to nasz, patrz pan i ja mam bilet; proszę nie zastępować drogi, powiedział czupurny pan Wysokonoski, i ręką chciał usunąć kolegę, który stanął we drzwiach do salonu.

— Pan nie pójdziesz, pan nie zajmiesz miejsca, które zdobyłeś podstępem.

— Panie, to miejsce najszlachetniej do nas należy, odezwała się z powagą pani Wysokonoska, i puszczać rękę męża, z córką weszła do salonu, a gdy znalazły się przy fotelu, nie mogły z niego korzystać, bo chociaż Magda je spostrzegła, ale panna Abissynia tak zastąpiła drogę, że w razie ustąpienia dziewczyny, pierwsza zajęłaby miejsce. Wołały więc oprzeć się o tył krzesła i czekać aż ojciec przybędzie im w pomoc.

A ojciec z panem Chapkiewiczem wiedli kłótnię na seryo; jednemu aż pot się lał z czoła, a drugi zzieleniał. Wreszcie pan Chapkiewicz przybrał minę wielkiego dygnitarza, wygiął się naprzód, wystawił prawą nogę i groźąc ręką zawołał:

— Pan jesteś moim podwładnym!

— Moja żona baronówna de Strucel, a pańska kupcówna! odparł pan Wysokonoski, i na przebój wcisnął się do salonu.

Pani Wysokonoska, zniecierpliwiona ogromnie, pozostawiła córkę na straży fotelu, i chcąc całą rzecz w szlachetny sposób zakończyć, postanowiła iść do samego koncertanta i prosić o sprawiedliwość. Myśl dobra, lecz przed chwilą pani Chapkiewiczowa spełniła ją pierwsza.

W oddzielnym pokoju stał artysta nad pulpitem, rękę zanurzył w długie włosy i wpatrywał się wnóty przed nim leżące. Nagle zatrzęsł się i przestraszony spojrzął na dwie damy, które weszły z impetem i z obu stron mu dygnęły.

— Czémże paniom mogę służyć?

— Panie dobrodzieju, pierwsza przemówiła p. Chapkiewiczowa, mam Ner 5, a ta pani także rości do niego prawo.

— A! zawołał artysta, teraz dopiero przypominam sobie całą historią, której zapobiedz na śmierć zapomniałem. Panie darują... przez pomyłkę rozdało numer...

— Mówiłam że przez pomyłkę, ale ta pani żadną miarą nie chce ustąpić, chociaż mój mąż najpierwszy dostał bilet.

— Pani darujesz, ale ustąpić nie mogę, przemówiła pani Wysokonoska stanowczo, lubo z udaną flegmą, do której zniewalało ją dobre wychowanie.

— O ja wiem, że pani zawsze chciała być górą.

— Panie raczcie się porozumieć, tu ustępstwo konieczne.

— Ja ustąpić nie mogę, przez panią jestem zawsze poniżana; ta pani zawsze i wszędzie chce być pierwszą.

— Na to się pani żalić nie możesz, gdzie mogę tam chętnie ustępuję.

— O prawda! a dawnoż to, dawno, bo przeszłej niedzieli, któż uprzedził mnie i zakupił wszystkie jezory wołowe na marynatę?... Jezory udały się pani, ale z fotelu ze sprężynami nic nie będzie.

Pani Wysokonoska zarumieniła się i ze wstydu i ze złości; gotową już była na ustępstwo, lecz artysta, zapobiegając wszystkiemu, rozkazał wnieść dwa krzesła opatrzone Ner 5, i postawić je tuż przed sceną.

— To pani je sobie zajmiesz, bo ja fotelu nie puszczę, powiedziała pani Chapkiewiczowa, dygnęła i opuściła pokój artysty, a za nią poważnym krokiem wyszła i pani z baronów Struclów.

Godzina rozpoczęcia koncertu już minęła, już na scenę wniesiono pulpit i nóty, wszystkie miejsca były natłoczone, a dopiero państwo Drapalsey, pięknie, świetnie wystrojeni, wchodzili do przedpokoju. Pan Cypryan nawet miał na sobie frak długi z rozdętymi klapami, i białą chustkę na szyi, jedne tylko włosy na głowie w nieporządku jak szopa sterczały.

— Idź Oksiu prosto na Ner 5, a my w trzecim rzędzie na swoich miejscach się zatrzymamy, odezwała się pani Drapalska, i wyprzedzając męża, obie weszły do salonu.

Pan Chapkiewicz, usłyszawszy to, chwycił pana Cypryana za rękę i zapytał:

— I wy na Ner 5?

— A tak, panie radzco dobrodzieju; bilet dostała Oksia od samego pana artysty.

— A ja panu powiadam, że Ner 5 do nas należy, pan musisz ustąpić!

— Panie radzco dobrodzieju, Oksia musi być najbliżej... ma deklamować.

— Ja panu dam deklamacyą w raporcie do wyższej władzy o blachę!

— Panie naczelniku... ledwie wyjąknął pocziwy pan Cypryan, zbladł, zatrzęsł się, a gdy pan Chapkiewicz, pewny ustępstwa, odszedł od niego, ten prawie bezprzytomny wszedł dosali, przybliżył się do żony i szepnął:

— Uciekajmy, nie wojujmy, ustąp fotelu, on wie o blasze. Żono, miej litość nad swemi pisklakami!

Żona coś odpowiedziała, ale pan Cypryan już nic nie słyszał, nic nie rozumiał.

Dwa nowe krzesła z nrem 5 były wniesione, sam kassyer prosił dam aby raczyły się porozumieć i zajęły miejsca, bo już czas wielki na koncert, lecz nikt z otaczających fotel nie myślał dać z siebie przykładu ofiary. Nareszcie pani Wysokonoska, znając się nieco z hrabiną, głośno poprosiła jej o sąd w tej sprawie, o wyrok, kogo sobie mieć życzy za sąsiadkę. Wszystkie damy na to się zgodziły, bo każda była pewną, że otrzyma pierwszeństwo.

W tej właśnie chwili weszła do salonu pani kapitanowa, Teodor prowadził ją pod rękę, a Andzia, białka i uśmiechnięta jak aniołek, postępowała za nimi. Zatrzymali się u drzwi, szukając swoich numerów, a oczy wszystkich zwróciły się na rodzinę, której ojca ze czcią wspomiano.

Hrabina, spostrzegłszy panią Walecką, podziękowała damom za ufność w niej położoną, i powstając z miejsca, sędziwą kapitanową zaprosiła na swą sąsiadkę. Damy rade nie rade musiały się zgodzić na propozycyą swęj pośredniczki. Pan Wysokonoski, aby cokolwiek zaskarbić względów u wielkiej pani, sam utorował drogę, zepchnął Magdę i z całą uprzejmością posadził kapitanową.

Panny Abissynia i Melania, zarówno dotknięte, pogodziły się, podały sobie ręce, a zajmawszy dwa nowe wniesione krzesła, zaczęły z sobą rozmawiać jak dwie najserdeczniejsze przyjaciółki. Po małej chwili już były nieco pocieszone, lecz ambicya na nowo krew wzburzyła, gdy zobaczyły że hrabina, usunawszy z drugiego fotelu swojego syneczka, posadziła na nim skromną Andzię. Mimo tego dumne były widokiem biędnej Oksylii, która z największym wstydem cofnąć się musiała.

Pan Cypryan córce ustąpił swego numeru, a sam, oparty o ścianę przy drzwiach, stał głuchy i ślepy na wszystko co się w około niego działo. Po chwili rozpassjonowana pani Drapalska przyskoczyła do męża i żywo mu rozkazała:

— Biegaj co tchu do domu, niech nam przyniosą dwa co najwyższe krzesła. Nie będziem najbliżej, to będziem najwyżej.

— Dwa co najwyższe krzesła? powtórzył machinalnie pan Cypryan.

— Najwyższe, powiadam. Czyś głuchy? A to skaranie Boże! Spiesz się... I pani Drapalska wypchnęła męża z salonu.

Nareszcie koncert się rozpoczął. Mistrza powitano grzotem oklasków najzasłużeńszych, a gdy odegrał Ner 1, szlachetny zapal wszystkich ogarnął. Po nim wystąpił Teodor; śliczna twarz blada, włos kruczy w tył rzucony, postać wyniosła, tak zniewoliły słuchaczy, że chociaż nie był na afiszu wymieniony, dano mu nieco oklasków, za które młody artysta serdecznie podziękował; lecz gdy zagrał, gdy mistrz obok niego stojący zawtórował mu, a potem znowu samego puścił na pieszczotliwe tony, serca wszystkich zrozumiały, że do nich przemawia poeta-marzyciel, a z czasem potężny władca w krainie harmonii. Pierwsza hrabina uderzyła serdeczne brawo, a za nią wszyscy. Gdy nastąpiły przywoływania, mistrz wziął Teodora bratnio za rękę i razem wyszli, aby ukłonem okazać swą wdzięczność.

Wszyscy chwalili, sypali oklaski i brawa, tylko panny Abissynia i Melania upornie milczały; na Teodora i spojrzeć nie chciały, bo strawić nie mogły że jego siostra, owa uboga dziewczyna, ubrana tylko w muślinową sukienkę, bez żadnej perły, bez żadnego przepychu, zajęła miejsce na fotelu obitym aksamitem z koldry Liszta, a one muszą siedzieć na prostych stołkach, nie obitych nawet zieloną kitajką. W spólném nieszczęściu porozumiały się myślą i sercem, a ściskając się ciągle za ręce, na wyścigi obmawiały Andzię; toż samo robili i ich ojcowie, wdając się w ocenę gry koncertanta, a gdy wyszedł Teodor, pan Chapkiewicz aż syknął i półgłosem zawołał:

— Patrz pan, ten znowu nie w lakierkach.

— I frak jak łachman.

— Tak on téż i grać będzie. Przysięgam że go wygwizdają.

Część pierwsza koncertu skończona, entreakt trwał zaledwie kilkanaście minut; podczas niego pan Cypryan wszedł do salonu, oczy miał utkwione przed siebie i nic nie widział, bo czerwone, żółte i czarne koła w powietrzu przed nim latały. Za nim szła służąca, niosąc na plecach dwa wysokie, wąziutkie krzeselka, które zaraz postawiła za swojemi paniami, stojącemi w środku przejścia. Śmiech ogólny powstał w całej sali, bo owe dwa co najwyższe krzeselka, były to po prostu dwa dziecinne stołeczki, z poręczkami do koła. Płomień wstydu zalał twarze matki i córki, i srogo spojrzwały na p. Cypryana, lubo tennic nie był winien, bo straciwszy całą przytomność, machinalnie trafił do domu, kazał służącej nieść za sobą dwa co najwyższe krzeselka, i na nic nie patrząc, był najpewniejszym, że zadość uczynił żądaniom żony.

Stołki dziecinne wyrzucono, a damy, zupełnie pobite, cofnąć się musiały w sam kącik salonu, aby tam znaleźć schronienie przed natarczywością złośliwych uwag, których najwięcej wypuszczała panna Abissynia, dotknięta tém do żywego, że nie sama jedna jest w białej morowej sukni, że i Oksylia śmiała z nią w strojach rywalizować.

Druga część koncertu się rozpoczęła, a po kilku pociągnięciach smyczka ręką mistrza, zapal doszedł do najwyższego stopnia; wszyscy utonęli duszą w duszy artysty-czarodzieja. Wówczas pani Drapalska, korzystając z ogólnego zajęcia, wyprowadziła męża do przedpokoju, i zaklinając go na wszystkie świętości, na honor domu, na szczęście piskląt, rozkazała stanowczo aby upokorzył Abissynią.

— Cóż ja z nią zrobię? chyba uduszę! zawołał desperowany pan Cypryan.

— Ona nie może być na balu, nie może się pysznić lyońskim atłasem!

— A przecież ja sukni nie ściągnę z niej przy wszystkich.

— Ale trzeba ją zniszczyć, oblać, zeszkaradzić!

— Kobięto, bój się Boga... on już mi groził! mówił pan Cypryan, załamując ręce.

— I cóż masz do stracenia? już wszystko przepałoś, złoży raport i dymissya pewna. Trzeba się gwałtem ratować, trzeba Oksię na front wystawić; niech ona jedna w morowej sukni króluje na balu, ona jedna wydeklamuje wiersze! O Cyprysiu, ona nas zbawi!... Wszak on dwa razy ścisnął ją za rękę.

— I myślisz że ona jego ułowi?

— Mam przecucie, że wszystko się powiedzie, tylko trzeba upokorzyć Abissynią. Pędź do domu i przynieś flaszczykę z terpentyną.

— Z terpentyną? po co?!... chcesz ją otruć żono?

— Obleję jej suknię, i panna Abissynia z takim zapachem będzie musiała ustąpić z salonu.

Pan Cypryan ochłonał, bo żona jego nie będzie trucieliem. Pomyślał chwilę, zawahał się i załamując ręce, rzekł z rezygnacją:

— Żono, ja to wszystko zrobię, ale pamiętaj, żebyś nas nie zgubiła!

— Cyprysiu, ufaj mi, powiedziała żona, pocałowała męża i wyprowadziwszy go na schody, sama wróciła do salonu.

Pan Cypryan nacisnął czapkę na oczy, i powtarzając sobie przez drogę: ona go złowi, zapłaci za blachę, będę miał wieczną spokojność, zaszedł do domu. Tu odważnie już jakoś, z wyparciem się własnego rozumu, a z wiarą w przecucie żony, zaczął szukać owiej fiaszeczki z terpentyną; lecz gdy długo znaleźć jej nie mógł, wpadł na myśl, żeby zlać p. Abissynią atramentem. I zryzykowany już na wszystko, wziął butelkę czarnego atramentu, obwinął ją w białą chustkę, wsadził w kieszeń i ze straszną miną zbójcy powrócił do hotelu.

Gdy go spostrzegła żona, zaraz się zbliżyła, szepnąwszy:

— Daj fiaszeczkę, ja sama jej bal sprawię.

— Niema fiaszeczki, ale mam atrament.

— Atrament z butelką! i cóż z nim?

— Obieję ją od góry do dołu, niech się stanie awantura, na wszystko jestem zdecydowany; czy tak, czy owak, da mi dymissyą, odpowiedział pan Cypryan tak odważnie, że żona, spojrzawszy mu w oczy, musiała uwierzyć w jego rycerski zapał.

— Pamiętaj więc jak tylko zaczną sypać kwiaty, zbliż się do niej. W tłumie nikt cię nie zobaczy; ale ostrożnie.

— Już ty mnie nie nauczysz, odpowiedział z całą pewnością siebie, i trzymając się za kieszeń z butelką, sunął ku pannie Abissynii.

Gdy w sali koncertowej wszyscy się bawia, gdy Teodor władnie sercami słuchaczy, w dworku kapitanowej biédna Marcyanna walczy z sobą, czy iść do hotelu, czy też w domu czekać powrotu ukochanego panicza. Z początku odrzuciła namowę kapitanowej i Andzi, które chciały ją wziąć z sobą, lecz gdy została samą, jakaś niespokojność owładnęła sercem, w piersi wyraźny ból uczuła. Walczyła z sobą długo, lecz gdy usłyszała turkot powozów i karet, gdy wybiegła przed furtkę i zobaczyła hotel gorejący światłem, Teodor obsypany kwiatami stanął jej na oczach i cała dusza przywiązanej piastunki do niego zatęskniła. Przygarnawszy się więc w niedzielną suknię, z nieodstępnymi Wiernusiem i Maciusiem ruszyła ku hotelowi. Tu niepodobna jej było wejść na salę, ale bochnymi drzwiami, dowodząc że piastunka ma prawo choć z zaułka przysłuchiwać się grze swojego panicza, została wpuszczoną na korytarzyk, którego drzwi były nieco uchylone, wprost na część sali zajętej na scenę. Z tego ciemnego kąta Marcyanna podziwiała grę Teodora, a chociaż niewiele z niej rozumiała, za każdym smętniejszym tonem dusiła się od płaczu; gdy zaś posłyszała oklaski i brawa, z radości, nie mając odwagi wyskoczyć z ukrycia i rzucić się na szyję swojego pieszczocha, ścisnęła serdecznie to Wiernusia, to Maciusia.

Właśnie ner 3 przypadał na Teodora, zaczął grać „Modlitwę wygnańca“, duszą wznosił się ku niebu, śpiew skrzypiec jego, świętością jakąś tchnący, do głębi wszystkich poruszył, a matka, z miejsca swego nie mogąc dojrzec syna, wspięła się na palce i zapominając że przed nią ktoś siedzi, oparła się na ramieniu panny Abissynii. Dumna panna obejrzała się i pogardliwie rzekła:

— Ta weteranka nie daje mi chwili spokoju!

Tych słów obelżywych staruszka nie usłyszała, bo nadto była zajęta tryumfem swojego dziecka, lecz z oczą Andzi lezki trysnęły, a i Teodor zbladł, wlepił wzrok przed siebie i tak po cichu skończył modlitwę, tak niepewną ręką wygłosił ostatnie tony, że nie zdobył oklasków, na jakie mógł był zasłużyć.

Hrabina wszystko to widziała, i zabolęła ją te wybryki prowincjonalizmu; kapitanową wypuściła przed siebie, tak iż tylko kilka krzeseł, założonych notami, przedzielało ją od syna. Teodor spojrzął na promienającą twarz matki, wpatrzył się w Andzię, a widząc jej rączki na piersiach złożone, jej wzrok błagający go aby nie brał do serca tej obelgi... odżył po chwili i śmieliej ku scenie postąpił.

Koncertant grał numer przedostatni; już nie wołano, ale krzyczano z zachwytem, a bukiety wkrótce miały upaść pod nogi mistrza. Panny Abissynia i Mela-

nia, bojąc się aby ich wonne dary nie były zmarnowane, uprzedziły wszystkich, i dwa potężne bukiety rzuciły tuż pod nogi koncertanta; lecz o zgrozo! mistrz ani spojrzął na nie, a jakimś fatalnym wypadkiem postąpił kilka kroków naprzód i nogą oba przydeptał.

Na widok takiej profanacji panny o mało z krzeseł nie pospadały. Panna Oksyilia tryumfowała, powtarzając w myśli szumną improwizacją.

— Teraz razem grajmy! żywo powiedział mistrz do Teodora, i obydwaj uderzyli w strony.

Pierwsza hrabina rzuciła bukiety, a za nią posypało się tysiące. Grać skończyli. Koncertant podniósł z ziemi piękne dary i podzielił się nimi z Teodorem; młodzieniec chwycił dłoń mistrza, i milcząc z duszy mu dziękował, a potem, idąc za popędem serca, matce i siostrze poniósł wszystkie bukiety.

Kapitanowa, zapominając gdzie jest, ze łzami przycisnęła Teodora do swojego łona, a śliczna Andzia wonne kwiaty tuliła do żywo bijącej piersi.

Taki widok musiał rozrzewnić wszystkich. Imistrz, stojąc na uboczu, z rozkoszą na to spoglądał, bo rozumiał, że tylko z takim sercem, że tylko z taką wiarą i miłością dla swój rodziny można dojść szczytu i sprawić, że z cierni całego życia wykwitną piękne róże, choćby... na grobie artysty.

Lecz i poczciwa Marcyanna nie mogła wytrzymać. Teodora wyściskam w domu, myślała sobie, ale jak tu nie podziękować dobremu panu, który chętnie się dzieli z młodzieńcem? Wahala się, lecz w końcu musiała uleść pokusie; wypadła ze swego ukrycia, rzuciła się do nóg mistrza i całując jego ręce, dziękowała prostymi słowy, a Wiernus i Macius, nieodstępni przyjaciele, mrużąc i szczekając, szczerze jej w tém pomagali.

Śmiech ogólny, ale serdeczny, życzliwy, powstał w całej sali; wszyscy radziby się wzajem uściskać, tak przykład dobrze oddziaływał.

Ruszono się z miejsca, a pan Cypryan podsunął się ku Abissynii, i trzymając w ręku butelkę z atramentem, już myślał rozpocząć swą czynność; lecz jak przed chwilą był odważny, tak teraz stchórzył na dobre, a czując jak go ze wszystkich stron ścisną, słysząc gwar, od którego stracił przytomność, wpatrzył się w białą suknię p. Abissynii i już miał spełnić czyn barbarzyński, gdy wtém panna Oksyilia, pchając się naprzód ze swą improwizacją, odsunęła rywalkę i w miejscu jej stanęła przed ojcem. Pan Cypryan, widząc ciągle białą suknię, nie spotrzegł ostatniej zmiany, przeżegnał się więc w myśli, całą sprawę polecił Bogu, i odkorkowawszy butelkę, czarny strumień atramentu puścił na lionską suknię własnej córki.

Panna Oksyilia właśnie poprawiła arabskie okrycie, i wzniosłszy rękę do góry, zawołała:

— Mistrzu, z twych strun rosa płynie! Lecz w tej chwili atrament przecisnął się przez atłasy, koronki i dotarł perkalu, a panna krzyknęła:

— Mokra!

— Mokra? powtórzyli najbliżsi, a pani Drapalska chwyciła męża za rękę, wołając:

— Co ty robisz?

— Zlewam, odpowiedział przelekły pan Cypryan, a gdy go wszyscy odstąpili, stał na środku sali, z butelką w drżących rękach.

— Oksiu, tyś atramentem złana! wykrzyknęła matka, załamując ręce.

— Co? to nie panna Abissynia?.. Przepraszam panią... Bóg świadkiem że nie wiedziałem, wybąkał pan Cypryan, pokornie się uklonił pannie, i błędnym wzrokiem powiódł dokoła, wzywając ratunku.

Ta i poprzednie kompromitacje nie dozwoliły żadnej z trzech rodzin pozostać na balu. Pan Chapkiewicz gwałtem chciał, aby wszystko się rozchwiało, aby do balu dziś nie przyszło; nie zważał nawet na to w swój zaciekleści, że cały dochód z biletów balowych był przeznaczony na ubogich. Wyszedł też do drugiej sali, w której miano tańczyć, podskoczył kilka razy w górę i przemówił do budowniczego:

— Panie budowniczy, ta sala grozi niebezpieczeństwem, tu tańcować nie można; polka rozwali mury, nieprawdaż?

— Ja nie wiem, w statyce niema wzmianki o wpływie polek na mury, odpowiedział budowniczy, a z nim

złączyli się i drudzy urzędnicy i stanowczo oświadczyli wymyślnym kolegom, że niech się wynoszą, bo zabawa na tém cierpi.

Zaraz też hrabina podała rękę artyście, sędzia ofiarował swe ramię najzacieplejszej matronie z towarzystwa, Teodora poprosiła zacna pułkownikowa, a Andzia z kwiatami uwiesiła się u ramienia półkownika, który ciągle jej coś szeptał na uszko—i tak dalej inne pary przeszły do drugiego salonu, gdzie muzyka grzmiała poloneza.

A trzy rodziny powędrowały do domu; pan Chapkiewicz z panem Wysokonoskim prowadzili się pod ręce i głośno naśmiewali się z zapału mieszkańców dla mizernego grajka.

— To panie Paganini, mówił pan Chapkiewicz, grał na jednej strunie, a kto wie, możeby się i bez tej obszedł.

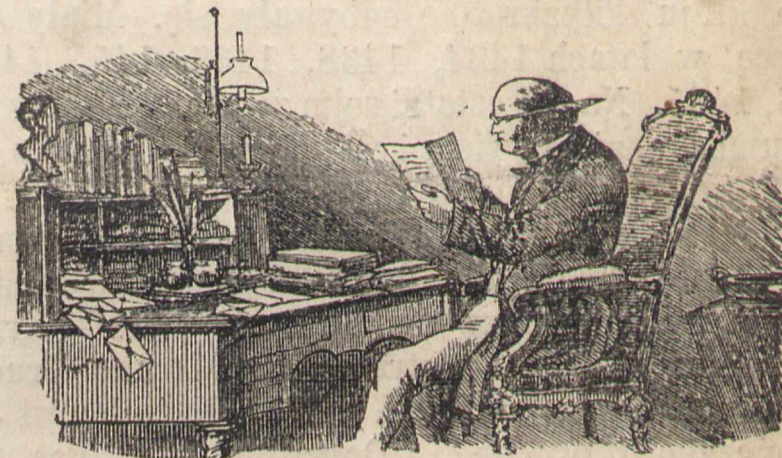
— Taką grę to rozumiem, ale ten aż na czterech strunach. Wielka mi sztuka! dowodził p. Wysokonoski.

— Gdzie tam na czterech, miał ich z dziesięć, tylko ich nikt nie dopatrzył. I obydwaj krytycy wyszli na ulicę.

Pan Cypryan, postawiwszy butelkę w kąci, wyszedł za wszystkimi, lecz spotkawszy się z desperackim wzrokiem córki i uczuwszy jakieś bolesne szczyknięcie, wrócił się ze schodów, wpadł do salonu i zaczął szukać artysty, aby się go stanowczo zapytać, czy tylko sobie żartował z Oksi, czy też ma jakie względem niej zamiary? A że wszyscy bardzo lubili pana Cypryana, zatrzymali go na całym balu, i starowina bawił się za wszystkich.

Muzyka grała, tańce szły ochoczo, i wówczas gdy ambitne rodziny kwasily się w domu, gdy panny przestrojone i przemądrzałe szlochały po kątach, śliczna Andzia, obdarzając młodzież kwiatkami, rozrywana do tańca, bawiła się całą duszą i... uboga dziewczyna została królową balu.

KONIEC.



Redakcja Tygodnika otrzymała r. 111 kop. 10 papierami banków pruskiego i polskiego, jako składkę na Instytut muzyczny, od obywateli powiatu szamotulskiego w w. księstwie poznańskim, staraniem dwóch zacnych dam: hr. Maryi Kwileckiej z Oporowa i półkownikowej Antoniny Skarzyńskiej z Wielkich Sokolnik zebraną. Dar ten przesłano dyrektorowi Instytutu muzycznego.

P. K. D. w Żytomierzu. Przesyłka Tygodnika nie może się rozpoczynać od miesiący wśród kwartału; dlatego wysyłać się będzie od 1 kwietnia do 1 października.

P. L. w Warszawie, który nam nadesłał do ocenienia wyjątki z libretta do jednoaktowej operetki, odpowiadamy, że chociaż w próbkach Jego widać ślady talentu, jednakże słaba budowa wierszy i zbyt pospolite nieraz obrazowanie świadczą o braku studyów przygotowawczych. Radzimy Mu pracować nad językiem, zapatrywać się na wzory wprawniejszych od Siebie pisarzy, a z czasem może będzie mógł z pożytkiem wystąpić w szrankach literackich.

P. W. R. w K. w p. w. bialskim. Przesyłkę odebraliśmy. Ryciny, chociaż nie wykonane artystycznie, może się przydadzą. W każdym razie dziękujemy za pamięć i zwrot zapewniamy w całości.

P. S. B. w Warszawie. Nadesłanych zadań szachowych nie mogliśmy jeszcze sprawdzić; poprzednie jednak prace Pańskie w tym rodzaju dają nam rękojmię ich wartości.

P. T. w Warszawie. Bajki pod tytułem Dziady drukować nie możemy.

KOSCIÓŁ FRANCISZKAŃSKI

W NOWEM MIEŚCIE KORCZYŃE.

Na obszerniej płaszczyźnie w gubernii radomskiej, w powiecie stopnickim, w miejscu gdzie rzeka Nida z Wisłą się łączy, leży niewielkie miasteczko rządo-

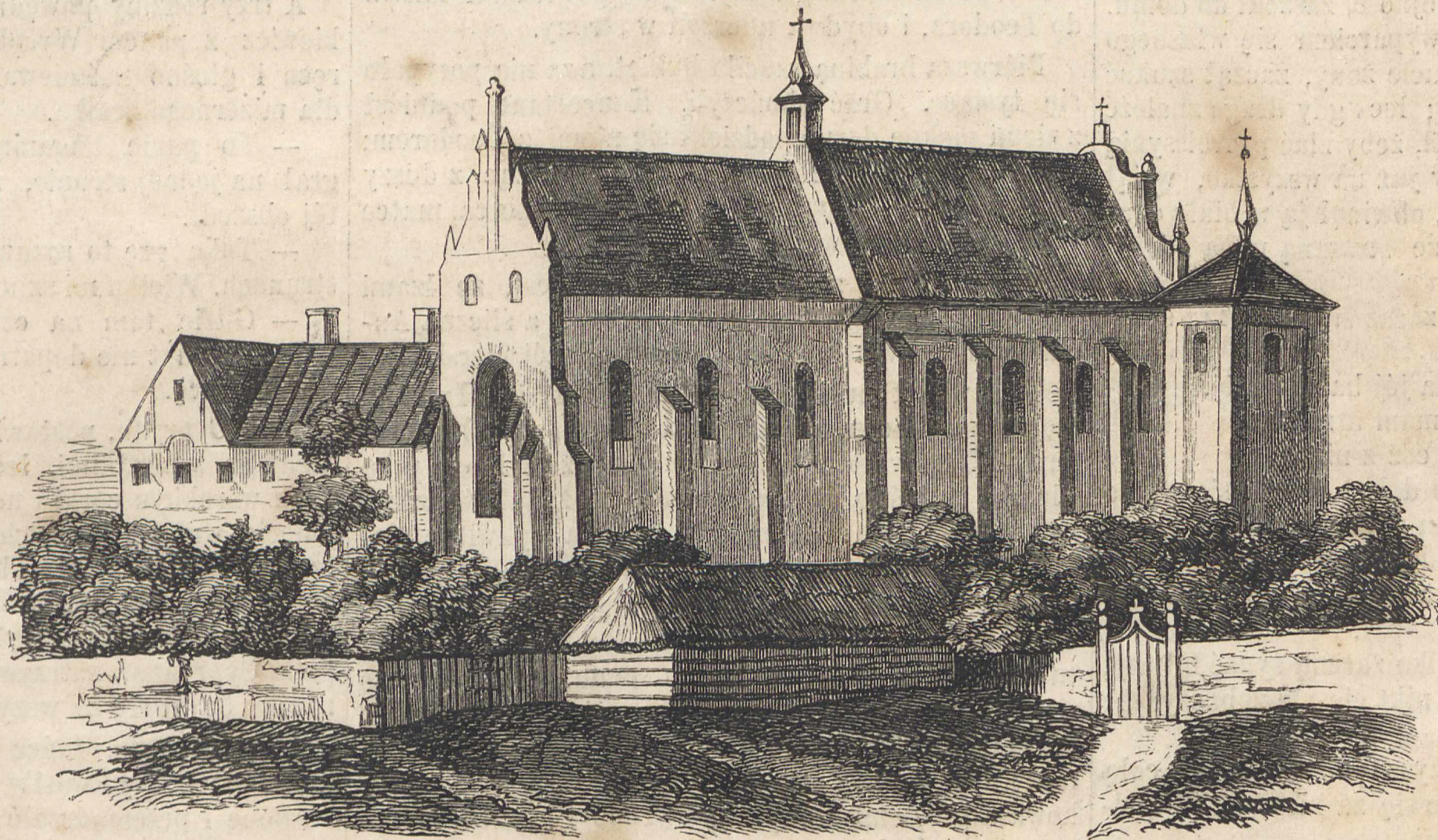
we Korczyn, Nowém miastem Korczynem zwane ztąd, że stare było na drugiej stronie Nidy, ślad czego do-
tąd pozostał we wsi tego nazwiska, dziś w powiecie
miechowskim istniejącej. Już za czasów Leszka Bia-
łego stał w tém miejscu zamek, urodzeniem syna jego
Bolesława pamiętny, co dał bez wątpienia początek
nowej osadzie, która obdarzona przez tegoż księcia
prawem niemieckim, na miasto zamienioną została.

Wzrost atoli i znaczenie
Korczyna dopiero od Kaź-
mirza Wielkiego się roz-
poczyna, wtedy bowiem
drewniany przedtém za-
mek wzniesiony był z mu-
ru, stanęły liczne domy,
zakwitł handel, a ludność
tak się pomnożyła, że by-
ło to miasto drugie po
Krakowie. Ziemowit ksią-
żę mazowiecki, pragnąc
pojąć w małżeństwo pię-
kną Jadwigę królową wę-
gierską, zajął w r. 1383
Korczyn i przez dwa tygo-
dnie naradzał się z przy-
chylnym sobie arcybisku-
pem Bodzantą i Wielkopol-
anami, względem osią-
gnięcia jęj ręki, a z nią ber-
ła polskiego, i tu oczekiwał
na jęj przybycie do kraju.
Władysław Jagiełło, za-
mieszkałszy na tronie państwa,
to mieszkając w Kor-
czynie, zgromadzał koło
siebie szlachtę, która za
jego ręką zaczęła wpły-
wać na rządów. Tu pierwszy raz w Polsce zjazd
na dzień 11 listopada 1404 był zwołany, i na-
stąpił do roku 1475 dla załatwienia rozmaitych po-
krajów kilkakrotnie odbywały się. Miały one
w latach 1434, 1438, 1439, 1455, 1461,
1465. Na ten ostatni sejm zjechali się pierwszy
raz umocowani od ziem i prowincyj posłowie, a je-
dnym z jego skutków był uchwalony w dodatku do
statutu wiślickiego, statut zwany nowo-korczyńskim. Pamię-
nym także dniem dla miasta był 9 października
1479 r., w którym zwyciężeni orężem Polski Krzy-
żacy, przez wielkiego mistrza swego Marcina Truch-
ses, wierność i poddaństwo królowi Kaźmirzowi Ja-
giellończykowi przysięgli. Dobry byt Korczyna, tak
pomyślnymi okolicznościami spowodowany, przetrwał
jeszcze wiek następny. Szybkim krokiem wzrastała
ludność jego tak dalece, że przez niespełna sto lat
podwoiła się liczba domów, pomimo dwukrotnie
w tym czasie wydarzonych pożarów. Z upływem
atoli XVI wieku skończył się świetny jego stan, a za-

częło pasmo przygód coraz bardziej dotkliwych, zaś
wojny szwedzkie, powietrze morowe i częste pożary
dokonały reszty.

Już w ostatnich czasach Rzeczypospolitej znikł na-
wet pozór, aby to miasto zajmowało kiedy w historii
tak przeważne stanowisko. I dziś ledwie szczątki gła-
zów, ledwie zarośnięte trawą wały naprowadzają na
śląd, gdzie stał przez pięć wieków okazały królewski

dobnie oddaje swoją koronę w zamian za pasek. Na
szczyt łuku Eliazs prorok, na wozie ognistym parą
rumaków wieziony, tryumf dla obojga królewskich
małżonków zapowiada. W nawie na sklepieniu podo-
bnie wyobrażenie allegoryczne anioła, trzymającego
rozciągniętą suknię męczennika nad pacholęciem,
w samym zaś środku sklepienia obraz św. Stanisława
biskupa, wyżej Matka Boska, a nad nią św. Trójca



KOŚCIÓŁ FRANCISZKAŃSKI W NOWÉM MIEŚCIE KORCZYŃNIE.

w pięknej perspektywie
wdzięcznie całość zakoń-
cza. Dalej Michał archa-
nioł w naturalnej postaci,
w koło zaś tych obrazów
mnóstwo świętych i anio-
łów. Arkady idące od skle-
pienia ozdobione są ko-
lumnami, między którymi
znajdują się obrazy tych
papieży, którzy byli pier-
wymi franciszkanami, z wy-
pisaniem roku, kiedy na
stolicę apostołską wstąpi-
li. Malowania te wykonali
w r. 1761 dwaj artyści Ma-
ciej Reichan i drugi, który
tylko dwiema pierwszymi
głoskami N. J. imię i na-
zwisko swoje oznaczył.
W r. 1777 kościół znowu
ucierpiał nieco na ze-
wnątrz w czasie pogorze-
li, chociaż wewnątrz nie był
uszkodzony. Po owym je-
dnak spaleni, jakkolwiek
staraniem przełożonych
dobrze utrzymywany, do-
tknięty atoli ręką czasu

zamek, pamiętny tylą historycznymi zdarzeniami.
Teraz ciche i ubogie, ma domów murowanych 67,
drewnianych 159 i liczy 3314 ludności, pomiędzy
którymi samych izraelitów 2335, trudniących się rol-
nictwem, rzemiosłami i drobnym handelkiem.

Jedyną jeszcze dotąd pozostałą ozdobą i najda-
wniejszym zabytkiem starożytności w Korczynie, jest
kościół księży franciszkanów, którego rysunek
umieszczamy. Według podania założył go książę
Bolesław Wstydlivy, wraz z swoją małżonką błogo-
sławioną Kunegundą, tak przynajmniej wskazują na-
pisy przy ich wizerunkach na ścianach tegoż kościoła,
gdzie położony jest nawet rok 1248 jako data jego
wystawienia. Ale daty te z historią nie zgadzają się
i najpodobniej król Kaźmirz Wielki około roku 1343
na nowo go przerobił, albo dawniejszy zupełnie prze-
budował i rozszerzył, hojnymi funduszami go opa-
trzywszy. Świątynia ta bowiem, chociaż w skutek
kilkakrotnych późniejszych przekształceń straciła
dużo na swojej starożytnej powierzchowności, wszak-
że w całej części kapłańskiej równie zewnątrz jak
wewnątrz dochowała znamiona XIII wieku. Płaska
ściana skarpami podparta, która tę część zakończy
i wybicie w niej okien nosi niewątpliwą cechę owego
wieku, a krzyżowe sklepienie przypomina wzory bu-
downictwa XII stulecia.

Pod panowaniem Władysława Jagiełły, kiedy w r.
1439 obradowano w Korczynie nad wstrzymaniem
rozszerzającej się sekty Hussytów, sławny Spytek
z Melsztyna, żarliwy jęj stronnik, napadł na obradu-
jących, i mszcząc się na klasztorze w którym oni mie-
szkali, złupił go do szczytu, co później wygnaniem
i utratą majątku przypłacił. W następnych czasach,
dzieląc koleje miasta, i kościół ks. franciszkanów zni-
szczał i podupadł. Podźwignął go przy pomocy wie-
lu gorliwych o chwałę Bożą panów prowincyał zaku-
nu ks. Andrzej Będowski w r. 1750, i wtedy nawa
dostała nowe sklepienie. Za jego to staraniem całe
wnętrze wcale nieże zostało pomalowane, na mokrym
wapień al fresco. Malowania te na ścianach w mniej-
szym chórze wyobrażają męczeństwo św. Stanisława
biskupa i wskrzeszenie Piotrowina, sklepienia zaś są
okryte allegorycznymi figurami treści teologicznej. Na
łuku oddzielającym nawę kościoła od presbiterium,
w górze z jednej strony przedstawiona św. Kunegun-
da składająca koronę, a przyjmująca pasek ś. Fran-
ciszka, z drugiej mąż jęj Bolesław Wstydlivy, podo-

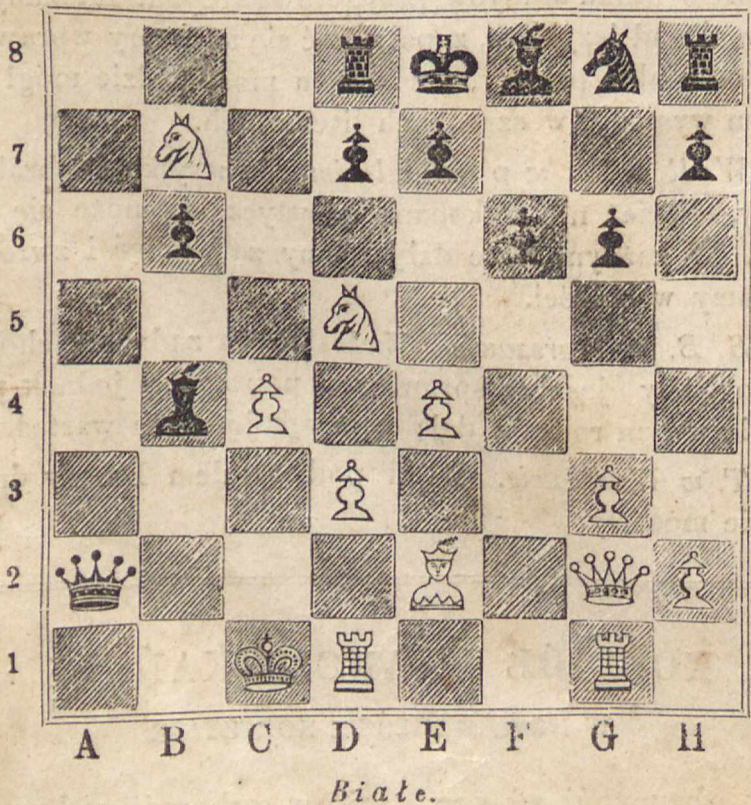
i brakiem funduszków, zupełnie uległ ruinie. Dopiero gdy
w r. 1835 rząd królestwa przeznaczył znaczną sumę
na jego reperacyą, takowej z przywoitą starannością
dokonano, byt owego gmachu na długie jeszcze wie-
ki został zabezpieczony. Obecnie, chociaż pierwotną
swoją wysokością nie zdumiewa, schludną atoli po-
stacią przyjemny sprawia widok. Kościół ten wewnątrz
ma dziesięć ołtarzy. W wielkim mieści się śliczny
obraz św. Stanisława biskupa, pędzla wyżej wspo-
mnionego Reichana. Nadto zdobi go kilka nagrobków,
z których najdawniejszy Andrzeja Poradowskiego, re-
genta grodu korczyńskiego, zmarłego w r. 1574, Ja-
na Gniewosza z r. 1611, Konstancyi Jordanównę z r.
1634, oraz rodziny Będowskich z lat 1725 — 1727.
Nakoniec w archiwum klasztorńem przechowują bar-
dzo starannie kilka przywilejów królewskich w ory-
ginałach, między innymi Jana Albrechta z r. 1494, Ste-
fana Batorego z r. 1585 i Zygmunta III, zatwierdza-
jące erekcyą kościoła przez Kaźmirza Wielkiego.

SZACHY.

ZADANIE XX.

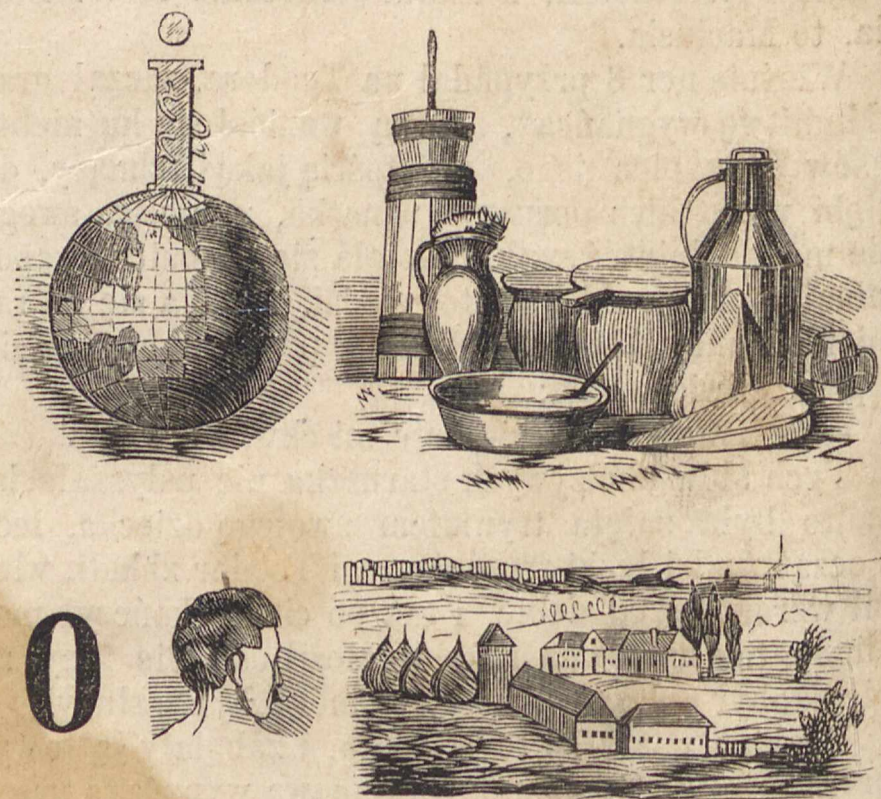
Białe zaczynają i dają mata za czwartym
posunięciem.

Czarne.



Białe.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 26.

Fortuna gra w ślepe babkę z ludźmi, dziesięciu mija,
jednego złapie.

Sprostowanie. W Nrze 26 Tygodnika, w rozwiązaniu rebu-
sa, zamiast: ślepe szczęście, powinno być: mitość.